

# Kronika

## tygodniowa

Skończył się styczeń, z nim zaś pierwsza połowa karnawału, ożywionego jak nigdy dotąd, nawet przed wojną. Mawiał śp. Zagłoba, że na wiosnę nawet wódr ku wódrówi afekt miłosny odczuwa, a to samo powtórzyć można obecnie o roztąpczeniu się całego świata. Co żyje, bez względu na to, czy posiada głowę, czy nie, ma ją zawróconą tańcem. Tańczę śmieci na ulicy pod wpływem wiatru, ludzie z mrozu podskakują mazurowym krokiem, inni suwają pedałami jak przy walcu, różne czule pary tulą się do siebie, nieczem w nowomodnym tańcu, gazety przepełnione zapowiedziami bałów, redut, pikników i sprawozdaniami z nich, jednym słowem karnawał w całej pełni, chylący się już wprawdzie ku końcowi, ale właśnie dlatego, jak dogasająca lampa, coraz jaśniejszym buchający płomieniem.

I nie też dziwnego, że i kronikarzowi adzieliło się to karnawałowe podniecenie, a to, gdy przeczytał szumną zapowiedź o maskaradzie papierowej, gdy dotąd czytywał tylko o takiejże katastrofie. Widocznie stosunki pod tym względem poprawiły się i papier jest dosyć, a wiadomość tę przyjmą z radością wszyscy psujący papier, zwłaszcza zaś grafomani, którym brak jego dał się poważnie odczuć utrudniając ich twórczość. Skonstatowały ten fakt redakcje pism, dyrekcje teatrów i tym podobne instytucje, którym w ostatnim czasie dostarczono o połowę mniej „prób talentu“, co zmusiło je do podwyższenia rubryki wydatków na opał węglem i drzewem.

Kronikarz, wróciwszy onegdaj na łono kochającej rodziny, częścią z radości, że papieru widocznie nie brak, będzie zatem czem palić w piecu, częścią, aby się ogrzać, gdyż węgla „już wyszły“, a nowych niema za co kupić, uchwycił lekkomyślnie kręcącą się po pokoju Weronikę pod bok i obrócił ją kilka razy dookoła stołu, pogwizdując jakiegoś walca z przed lat trzydziestu. Fakt sam, na oko drobny, miał przecieć, jak się potem pokazało, straszne i nieobliczalne wprost następstwa.

W pierwszej chwili, nie wiedząc, co się święci, zapytała oburzona Weronika, czy przypadkiem nie zwariował, następnie jednak, gdy po przetańczeniu owej tury, całym ciężarem swych stu kilogramów opadła bezwładnie na otomanę, wyszeptala z widocznym zadowoleniem:

— Ani przypuszczam, że przy mej słabej konstytucji mam w sobie jeszcze tyle siły!... Wiesz co?... Warto byłoby wobec tego wybrać się na Redutę Prasy!...

Pod kronikarzem zatrząsły się nogi, zrobiło mu się naprawdę zimno i miał w sobie tylko tyle siły, by wyszeptać z prawdziwą boleścią:

— Masz babo redutę!...

Weronice plan jej, jak wogóle każdy, przez nią wynaleziony, ogromnie się widocznie spodobał, rozpoczęła bowiem zupełnie na serio omawiać tę karnawałową wycieczkę, oczywiście w gronie całej rodziny.

Rola się zmieniły, teraz kronikarz zwrócił się do swej lepszej połowy z zapytaniem:

— Kobieto, czyś zwariowała?... A skądże ja ci wezmę pieniędzy na taki wybrzyk, bo inaczej tego nazwać nie mogę?... Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile wybranie się na redutę pięciu osób musiałoby kosztować?

— Głupstwo!... Wydatki będą minimalne, przerobimy sobie przedwojenne nasze suknie, trochę się je skróci, troszkę od góry wytale i wszystko będzie w porządku!

— W każdym razie i na to potrzeba pieniędzy... — Oczywiście, ale niewiele!... Sądzę, że trzydzieści tysięcy wystarczy!

— Bagatel!... Dodaj do tego drugie trzydzieści tysięcy na pokrycie kosztów wstępów, dwadzieścia tysięcy na nieprzewidziane wydatki, bez których się nie obejdziesz, a będziesz mieć okrągłe osmdziesiąt tysięcy, gdy natomiast ja rozporządzam w obecnej chwili pięćdziesiąt markami, które chciałem obrócić na kupienie sobie tytonia do fajki i danie brzytwy do wyostrenia...

— Potwór!!!... Zawsze tylko myśl o sobie, rodzina, jej potrzeby i przyjemności dla niego nie istnieją!... Boże!... I za jakież przewinienie ukarałeś mnie takim mężem?...

— Mam inny projekt, daleko praktyczniejszy... Wybierzcie się na „Maskaradę Papierową“, o kostymy gotów jestem sam się nawet dla was postarać, wstęp jednak i tą resztę, opłaćcie sobie same, gdyż ja na to nie mam...

— A skądże weźmiesz na kostymy?

— To się zrobi zupełnie bez kosztów!... Dla ciebie zlepię pelerynę ze starych numerów *Głosu Narodu* albo *Czasu*, dla córek z *Kuryerka*, *Gonca* i *Reformy*... Jestem pewny, że zrobicie furorę...

Zrozumiała, że to żarty i oburzyła się, iż śmie żartować z tak poważnych spraw, nie odezwała się też przez dwa dni z rzędu, wobec czego sprawa redutowej wycieczki spadła z porządku dziennego, pozostawiając jednak po sobie naukę, że dyabła nie należy budzić, gdy śpi spokojnie. Gdyby nie ów lekkomyślny walec dookoła stołu, nie byłoby całej awantury, nie byłoby jednak i początku kroniki, czyli, że niema na świecie złego, aby na dobre nie wyszło.

Właściwa kronika miała się zacząć od wzmianki o przybyciu do Krakowa pana ministra spraw wewnętrznych, na którego noczenie zamówił Magistrat dwudziestokilkastopniowy mroź, aby się przekonał, jak nam tu w Krakowie dobrze i jak się przedstawiają nasze sprawy wewnętrzne, gdy z powodu braku węgla i innych materiałów opałowych siedzieć się musi w domu w płaszczu i papuciach, z czapką nasuniętą na uszy, lub co rychlej zmykać pod pierzynę, o ile ją kto jeszcze posiada. To tylko bieda, że pana ministra przyjmowano w pokojach dobrze ogrzanych, o tem zaś, co dolega ogółowi, opowiadano tylko, a wiadomo, że temu, co się słyszy, wierzy się tylko połowę, a i tę najczęściej wypuszcza się potem jednym i drągłem uchem, zwłaszcza wobec przeciagów, jakie u nas stale panują. Mamy nibyto granice prawie wszystkie już ustalone, zostały przecieć jeszcze cztery działy, dwie na wschodzie (Wileńszczyzna i Wschodnia Małopolska), po jednej na południu (Jaworzyna) i na zachodzie (Górną Śląsk), a nie pozwól nam ich zaatać, groźąc, że o to poganięwaliby się Lloyd George, który, jako pochodzący z rodu szewskiego, szcyle butów i wszelakie łatania zastrzegł tylko dla siebie. Wobec tego jesteśmy bezradni i skazani tylko na to, co stamtąd kapnie, z powodu mroźów zaś ustalo też i wszelakie kapaństwo.

Zima zrobiła nam prawdziwą niespodziankę, jakiej zupełnie nie oczekiwaliśmy i, trzeba przyznać, nie jesteśmy jej bynajmniej tak bardzo wdzięczni, jak się może spodziewała. Stawne były dawne polskie zimy z siarzystymi mrozami, ale to było dobre, wtedy, kiedy było czem w piecu palić i w co się porządnie ubrać, a nie w dzisiejsze „okryjbiędy“, podzrywano wiatrem. Mógłby kto wprawdzie powiedzieć, że potrzebny nam jest na lato lód do celów przemysłowych ale i to nie prawda, gdyż możemy się bardzo łatwo obejść bez naturalnego, zwłaszcza, że pan fizyk ze względu na różne bakcyle chorobotwórcze rąbać go nie pozwoli, a mamy sztuczny, wyrabiany w rzeźni miejskiej. I ślizgawka, mająca dawniej taki urok dla wielu, dziś go prawie zupełnie straciła, na co wpłynęło także i to, iż sezon ślizgawkowy przypada równocześnie z karnawalem, a ci sami, którzy są zwolennikami sportu łyżwowego są też i dancierami i wolą kręcić się choćby nawet i w nieogrzanej sali, niż na wolnem powietrzu przy dwudziestu kilka stopniach mrozu i nieznosnym wietrzaku, zawiązującym niegrzeczność we wszystkie szczeliny ubraniowe, a tych dziś nie brak, a jednych ze względu na modę, a drugich na biedę. I magistrat nie jest ze zimy zbyt zadowolony, gdyż jest ona zażwyczaj połączoną ze śniegiem, który trzeba zgarnąć i wywieźć, bo wiatr nie wywieje go tak łatwo za rogatki, jak naprzykład zwykle śmieci.

Gdyby to jeszcze było czem palić w piecach, to ostatecznie zniósłoby się jakoś choćby i najcięższą zimę, w takich jednak warunkach jak obecne, trudno o tem pomyśleć. Dla wielu piec zajmuje zupełnie niepotrzebnie miejsce w mieszkaniu, na taki bowiem zbytek, jak regularne opalanie, może sobie chyba milioner pozwolić (W hotelach za jednorazowe „zaświecenie“ w piecu żądają według cennika tylko pięćset marek).

Wszystko to razem zestawiając, dochodzi się do przekonania, że zima jest obecnie zupełnie niepotrzebna i że Sejm, kasując różne święta, powinien być i ją także skasować, a z pewnością nikt nie płakałby o to. Cała nadzieja w tem, że zima, która dokucza nam prawie przez cały styczeń, prędko się też i skończy, gdy się wyczerpie kontyngent zimna przeznaczony dla świata i dlatego to wielu bardzo zwraca się z prośbą do owego przysłowiowego niedźwiedzia, burzącego lub poprawiającego awą budę w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, aby ją w tym roku stanowczo zburzył, a zyska sobie ogólną wdzięczność i uznanie, ewentualnie może nas prosić o pomoc przy tej robocie, a z pewnością mu jej nie odmówimy, materiał zaś z niej rozbiierzemy między siebie na opał.

Jedną tylko dobrą stronę mają mrozy i zimne wiatry, mianowicie, iż dzięki im każdy się spieszy, a nawet poważni radcowie miejscy, kroczący dawniej z majestatem rzymskich senatorów, nabierają dziwnej energii i pomykają żwawo naprzód. Posiedzenia Rady miejskiej cieszą się licniejszą, niż zazwyczaj frekwencją, sala posiedzeń jest bowiem dobrze ogrzana, co niekto-

rych z panów rajców naspasabia do przyjemnej drzemki. Ale dogódź tu komuś!... Zamiast się cieszyć z tego, narzekają, że potem w nocy spać nie mogą i dla zabicia czasu muszą się zabawić liczeniem pluskw na ścianach swych apartamentów.

Pośpiech widoczny jest także i w innych dziedzinach, naprzykład w informowaniu czytającej publiczności przez prasę codzienną o nadzwyczajnych wypadkach. Dzięki temu przed tygodniem uśmierciliśmy papieża Benedykta XV. Już w sobotę popołudnia, gdy on przełaził się do wieczności dopiero w niedzielę rano, dowiedziawszy się z nadzwyczajnego wydania krakowskiego *Kuryerka*, że już nie żyje. Redakcja tryumfowała, chwaliąc się: „My byliśmy pierwsi, którzy donieśliśmy o zgonie Ojca Świętego, z naszego nadzwyczajnego dodatku dowiedział się śp. Zmarły o swym własnym zgonie.“

Gdyby to mrozy chciały wpłynąć przyspieszające także i na poprawę naszych obecnych stosunków, szczególnie aprowizacyjnych, byłoby to bardzo wskazane, niestety, na coś podobnego się nie zanosi. Obiecywa-liśmy sobie wiele, dowiedziawszy się o zwinięciu ministerstwa aprowizacji, spodziewając się, że wraz z nim weźmie w łeb i bieda, która nas galecie, nie nastąpiło to jednak dotąd i nie zleci się prawdopodobnie prędzej, dopóki nie ukończy się jego likwidacja, a to, może jeszcze długo potrwać. Jest ona nieczuła nawet na mrozy i najsilniejsze wiatry.

Nie możemy się także doczekać, aby wzrost wartości naszej marki za granicą przyczynił się do obniżenia cen choćby tylko najniezbędniejszych artykułów wewnątrz kraju. Niestety, zamarzyły one i nie chcą się ruszyć z miejsca, a pudełko zapalek, które kilka miesięcy temu podskoczyło na piętnaście marek, kosztuje i dziś tyle, stosunek przedwojenny do dzisiejszego jest zatem taki, że dawniejsze dwadzieścia koron znaczyły tyle, co dziś *trzydzieści tysięcy marek!*

To utrzymywanie się cen na tym samym poziomie dotyczy w pierwszym rzędzie artykułów codziennej potrzeby, zatem środków żywności, odzieży, opału i światła. Potaniały natomiast... owoce południowe, cytryna z osmdziesięciu marek spadła na trzydzieści dwie, ale ohyba trudno żywić się samymi cytrynami. Potaniecie cytryn nie wpłynęło bynajmniej w naszych kawiarniach na cenę „herbaty z cytryną“, która i nadal kosztuje o dziesięć marek więcej, niż tak zwana „czysta“.

Ważniejsze jednak, że inne, potrzebniejsze od cytryn artykuły, jak naprzykład ziemniaki, masło, mleko, ser, jaja i t. d. potanieć w żaden sposób nie chcą i coraz trudniej spotkać się z nimi na targu. Powodem tego masowy wywóz ich za granicę, na czem niesumiennej spekulanci robią kolosalne fortuny.

Teraz dopiero zaczynamy rozumieć to, co dawniej wydawało się nam dziwnem i trudnem do pojęcia, naprzykład, że po wojnach napoleońskich żądano za austriackiego guldna srebrnego tysiąc i więcej papierowych. Widzimy, że po każdej większej wojnie rośnie drożyzna, a ceny nie wracają już nigdy do pierwotnego stanu. Starsi z nas przeżyli już jedną taką zwyżkę po wojnie prusko-austriackiej i francusko-pruskiej, młodsze pokolenie ma sposobność obecnie przekonać się o tem na własnej swej skórze i kieszeni. Bajką z „tysiąca i jednej nocy“ było dla nas wspomnienie, spotykane w starych opisach, iż za czasów Maryi Teresy pobierał austriacki starosta trzysta guldenerów rocznej płacy, „aby mógł żyć odpowiednio do swej wysokiej godności i mieć na utrzymanie do wyjazdu koni“.

Minęły bezpowrotnie te czasy i nigdy już nie wrócą, jak również te, które my sami pamiętamy, iż w niedzielę, mając koronę w kieszeni, można było pójść na fiaczki z wódeczką, dwiema bombkami piwa i nienajgorszym cygarkiem, a jeszcze zostało na powrót tramwajem do domu, aby się przypadkiem nie spóźnić na obiad, na który kochająca żona przygotowała doskonałą wleprzową pieczeń „ze skórką“ i leguminę, bardzo kosztowną, gdyż do jej sporządzenia trzeba było aż... sześćdziesiąt jaj, po dwa centy sztuka.

Dziś wszystko to należy do wspomnień i stanowi temat rozmyślań, że nasi potomkowie nie będą chcieli wierzyć, w jakich żyliśmy dostatkach i będą nam kiedyś tak zazdrościć, jak my naszym ojcom. Gdyby ci biedacy powstałi dzisiaj z grobu, z pewnością powróciłiby bardzo prędko na miejsce swego wiecznego spoczynku, nie czekając nawet, aż magistrat doprowadzi szerokotorową linię tramwajową do samego cmentarza.

